MARSKI

WALKA O KOBIETĘ

TRAGEDYA W JEDNYM AKCIE.



W. H. SAJEWSKI,
1017 Milwaukee Ave. CHICAGO

(Dalszy ciąg na przedostatniej okładce.)

WALKA O KOBIETĘ

Tragedya w I. Akcie

Opracował T. Kantor i Marski.

W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

OSOBY:

Stawicki, inżynier.
Łomżyński, dyrektor banku.
Helena, żona Łomżyńskiego.
Walery, służący Stawickiego.

SCENA I.

Pokój kawalerski Stawickiego, urządzony z komfortem na ścianach porozwieszana broń i trofea myśliwskie. Biurko, kanapa i dwoje drzwi; jedne zasłonięte czerwoną kotarą, a drugie wchodowe. Na scenie sam Stawicki siedzie przy biurku i układa listy.

Stawicki po chwili.

Będzie tu za chwilę osobiście, czy też nie będzie, o powód mniejsza, dość, że zdecydowała się tu raz nareszcie zjawić się sama osobiście. Swoją drogą skąd jej się wziął naraz ten kaprys posiadania z powrotem tych wszystkich listów, które dotąd od niej otrzymywałem? Ale kaprysy kobiet są rozkazem. Będzie je miała z powrotem wszystkie co do jednego, choć są mi one wszystkie tak bezcennie drogie. Przejawiła się w nich tak dokładnie jej kapryśna, nerwowa i tak bardzo

smutna dusza. Jeszcze dziś się roztanę z nimi, ale za jak kosztowną cenę. Zdecydowała się przyjść po nie sama. Nareszcie, nareszcie po raz pierwszy. Dzwoni... wchodzi.

SCENA II.

Walery staje w progu.

Stawicki.

Wiesz, że czekam niecierpliwie, czemu już nie wszedłeś?

Walery.

Tylko co wróciłem.

Stawicki.

Odpowiedź przyniosłeś?

Walery.

Jeszcze nie, ale...

Stawicki (zniecierpliwiony.)

Ale, co? No, coż pani powiedziała?

Walery.

Że później, jak napisze to sama przyśle.

Stawicki.

Czemuś nie prosił choć o ustną odpowiedź, jaką ci kazałem?

Walery.

Com nie miał prosić, ale nie dało się zrobić... Powiedział pani, że tak od razu nie może, że trochę potem. Wiadomo...

Stawicki.

Głupiś dość... Z Panem Łomżyńskim nie zetknąłeś się — co?

Walery.

Do usług... jak zawsze, nie. Spał... Późno dziś przyjechał z polowania. Właśnie lokaj Jan, mój dobry kolega szedł go budzić, jak wychodziłem, bo miano podać niedługo do obiadu.

Stawicki.

I co myślisz ostatecznie będzie?

Walery.

Do usług... myśle, że będzie dobrze... wiadomo...

Stawicki.

O ósmej najdalej byćby tu powinna, również?

Walery (skinął głową.)

Stawicki.

Gdyby do wpół do osmej nie było żadnej odpowiedzi, skoczysz, rozumiesz raz jeszcze i powiesz swemu przyjacielowi Janowi, że musisz przynieść jakąkolwiek odpowiedź, czy pojmujesz? Musisz...

Walery.

Do usług... ale odpowiedź przyjdzie sama, nie ma się co bać. Koperta znowu będzie taka marmurkowa, taka pachnąca, jak te tam. (Wskazuje na biurko. Wychodzi.)

SCENA III.

Stawicki (sam.)

Jakie też odniesie wrażenie, gdy tu wejdzie po raz pierwszy. Byle tylko mieć już raz tę pewność, że przyjdzie. Ile ja mam rzeczy jej do opowiedzenia, tak blisko, może z twarzą przy twarzy, jej od lat czterech beznadziejnie straconej, jej, która mi przyrzekła być wszystkiem... wszystkiem. (**Słychać dzwonek.**) To ona... nareszcie...

SCENA IV.

Walery (wchodzi.)

Wielmożny panie... w przedpokoju jest...

Stawicki.

Wiem... ona... pani Łomżyńska.

Walery.

Nie, nie, wielmożny panie... jej mąż pan Łomżyński.

Stawicki.

Być nie może... cóż znowu... powiedziałeś naturalnie, że mnie nie ma w domu.

Walery.

Już za późno wielmożny panie. Jak tylko wszedł, dobrze — powiada — że twego pana zastałem... widziałem światło w gabinecie od ulicy, doskonale, że go zastaję...

Stawicki (ze złością.)

Mogłeś przecie wymyślić coś na prędce, gapiu...

Walery.

Wiadomo, ale nie dało się nic zrobić. Zobaczył tę złotą laskę w przedpokoju, bez której się wielmożny pan nigdzie nie rusza, uśmiechnął się tylko do niej, no i nie było co już powiedzieć.

Stawicki.

Licho nadało, bo niechże tylko teraz ona nadejdzie...

Walery.

To i co? Wprowadzę tamtem wejściem wprost do sypialnego. Wiadomo... tylko te listy tam na biurku trzeba co prędzej zebrać, a ja tam jeszcze co mogę zabawię go. (**Odchodzi.**)

SCENA V.

(Nim wchodzi Łomżyński, Stawicki zbiera szybko listy z biurka przyczem jeden z nich upada na podłogę. Niemając czasu go podnieść przystępuje go nogą.)

Łomżyński (wchodzi ściągając rękawiczki.)

Pozwól, ale ceremoniujesz się, uważasz, jak książę Walii. Między kolegami szkolnymi to chyba nie uchodzi.

Stawicki.

Bynajmniej zapewniam cię, tylko kończyłem właśnie list pilny, gdy wszedłeś, ale to nic, już gotowy.

Łomżyński (sarkastycznie.)

Boję się, czy to nie był czasami list żywy i czy skutkiem mojego najścia, uważąsz, nie odszedł zbyt wcześnie.

Stawicki.

Wcale dowcipne przypuszczenie, ale tym razem istotnie odbiegające od prawdy.

Łomżyński.

Dajmy na to, przypuśćmy... No, ale nawet nie pytasz, uważam, z czem cię naprawdę tak naszedłem.

Stawicki.

Wolne żarty. Twoja obecność najzupełniej starczy mi za powód.

Łomżyński (lustrując pokój.)

A, a, a, po weselisku, to lubie. Ale wracając do kwestyi.O to uważasz, jakby ci to powiedzieć oto wyobraź sobie, że moja żona serdecznie zatęskniła za tobą, daję ci słowo honoru.

Stawicki.

Trochę oryginalnie importowana wiadomość. Cóż ty na to jej mąż prawowity?

Łomżyński.

Ja, gdybym tak nie słyszał, co o tobie mówi i nie znał jej charakteru tak, jak go znam doskonale, to gotówbym pomyśleć, że mi ją bałamucisz.

Stawicki.

Ale na szczęście słyszałeś, co o mnie mówiła, znasz jej charakter, więc tego nie myślisz.

Łomżyński.

Powinienbym, trzy tygodnie, jak do nas nie zajrzałeś.

Stawicki.

Toby cię właśnie powinno uspokoić.

Łomżyński.

Zapewne... Ale pierwej, od czasu, jak wróciłeś z Ameryki, byłeś u nas stale tak częstym, prawie codziennym gościem. I naraz Jakby się nas wyrzekłeś. Żonisko moje tak cię serdecznie lubi. Mówi o tobie, jako o niepoprawnym kobieciarzu i motylu-wieczniku, ale przyznaję ci złote serce i królewską fantazyę. Od czasu, jak nas nie odwiedzasz, chodzi wciąż, jak nieswoja. Aż mnie to uderzyło.

Stawicki.

Może chora?

Łomżyński.

To nie, ale czy czasem nie poróżniliście się ze sobą o co? Po takiej przyjaźni, do której tak otwarcie przyznawaliście się razem, byłoby to trochę dziwne. Teraz naprzykład wracam z polowania Czaczowskiego, wiesz tego z Wygody i pytam: Witold był? Nie — odpowiada mi chmurnie i jakby rozdrażniona. Widać, że nas się chce wyrzec zupełnie — myślę sobie — a kiedy tak to trzeba go będzie ugłaskać. Oto i przyszedłem... I cóż ty na to?

Stawicki (nic nie odpowiada.)

Łomżyński.

Słuchaj uważasz Witold, koledzy przecie jesteśmy.

Stawicki.

Ach jacy jeszcze. Od czasu, gdy mi zabrałeś Helenę, choć ta przysięgła na mnie czekać.

Łomżyński (przerywając.)

Ach znowu... Dajże pokój... Stare dzieję. Cóż nam przyjdzie z odgrzebywania ich? Zresztą, ja tu do ciebie z gałązką oliwną przyszedłem, a ty najwyraźniej zwady szukasz. Czy ci nie wstyd? Lepiej wyznaj, czy będziesz łaskaw do nas na herbatę jutro... Będzie parę osób.

Stawicki (rozdrażniony.)

Nie, dziekuję najuprzejmiej. Nie liczcie na mnie!

Łomżyński.

Jakto, nie przyjdziesz, odmawiasz? Ależ to obraza poprostu, po tylu słowach serdecznych od mojej żony, które ci tu powtórzyłem... I czemusz to, jeśli łaska?

Stawicki.

Bo mnie nie wolno na twoją żonę tak wciąż patrzeć, czy pojmujesz. Spoglądasz na

mnie tak bezbrzeżnie zdziwiony. A to przecież takie proste... Oto ilekroć ją widzę, tak bardzo piękną i ponętną, a tak już beznadziejnie na zawsze twoją żoną, to sobie wtedy myślę, czemużem nie Tatar, czemu nie żyjemy w stepie i czemu ci jej uwieść nie mogę na koniu gdzieś w bezmiar do swego namiotu.

Łomżyński (z flegmą.)

Ciskasz oszczepem bardzo niebacznie. Bacz, żebyś za daleko nie cisnął...

Stawicki.

W każdym razie wolno mi go odrzucić z powrotem...

Łomżyński (żartobliwie.)

A chcesz uważam koniecznie, żebyśmy ściągnęli miecze ze ściany i natarli na siebie, jak wściekłe dwa lwy. Czy ci nie wstyd? Jednak zaimponowałeś mi swą otwartością. Ludzie jak ty nie umieją krzywdzić z za płotu. choćby moja żona była stokroć piękniejsza jak jest...

Twoja otwartość nie tylko mnie zrazić nie mogła, owszem powiem, jeszcze mnie bardziej pociąga ku tobie. No dajże prawicę w uścisk serdeczny! Między dwojgiem przyjaciół...

Stawicki (z ironią.)

Tak... między dwojgiem przyjaciół, takich jak my... Więc z polowania wracasz zadowolony?

Łomżyński.

Polowańko uczciwie zaaranżowane —uważasz to jedyna rzecz, która ma sens na świecie. Daruj — uważasz, ale stawiam je wyżej nawet od twej pasyi, z jaką kombinujesz swe mosty łańcuchowe i rozpuszczasz je wszędzie, gdzie potrzeba i nie potrzeba. Ha, ha, ha, bo już nie mówiąc o wrażeniach kapitalnych, ale jeszcze się człowiek przy tem napije prawdziwej wielkiej poezyi. Nie do opowiedzenia poprostu. Widziałeś kiedy naprzykład taką rzecz, jak rykowisko jeleni?

Szkoda, że nie widziałeś. A żałuj, bo rzecz nadzwyczajna! Uważasz świt!... las się budzi. Z za drzew lękliwie przekrada się słońce wschodzące, a na polanie, wystawno sobie walka na śmierć i życie. Jak zawsze o kobietę... o sarnę. Zaczajony w krzewach patrzę i rozkoszuję się Słychać raz, poraz tętent wściekle rozbiekanych kopyt, a zarazem potem głucho razy zadąwane ostrymi rogami. Żaden z obu jeleni dobrowolnie nie ustąpi swej łani. Ta zaś obok najspokojniej

oczekuje na rezultat tej walki. Ach wspaniała zaciekła, żywiołowa walka. Dobiega wreszcie końca. Jeleń już tylko ostatkiem sił się opiera. Lecz nie ustąpi desperat. Wreszcie jedno pchnięcie z nienacka w samo serce.

Stawicki (głucho.)

W samo serce...

Łomżyński (w zapale myśliwskim.)

Tak... i zwyciężony biedak pada, aby wydać ostatnie tchnienie. Powietrze przeszywa w tej chwili donośny ryk i zwycięzca w rozkosznych pląsach zwraca się z tryumfem do wywalczonej. Co za żywiołowo wspaniały obraz... co?

(za kotarą ukazuje się Walenty dając panu swemu znaki i pokazując list.)

Stawicki.

Przepraszam.

Łomżyński.

Jeszcze jeden!

Stawicki.

Tak, jeszcze jeden.

Łomżyński.

Cóż?

Stawicki.

Wszak widzisz list!

Łomżyński.

Mojej żony do ciebie!

Stawicki.

I tamte wszystkie.

Łomżyński (z rezygnacyą.)

Tak i tamte wszystkie!

Stawicki.

Ano stało się, kości rzucone...

Łomżyński.

To przecie można oszaleć.

Stawicki.

Istotnie historya niewesoła. Zdradzony mąż najniespodziewaniej dla siebie wpada na trop kochanka swej żony. I teraz musi rozegrać się coś strasznego... Ale co? Najpewniej walka jeleni tak barwnie opowiedziana przed chwilą przez ciebie... co? Historya nie wiele odbiegająca podobieństwem sytuacyi...

Łomżyński (zawzięcie.)

Jeden z nas w każdym razie paść musi.

Stawicki (śmiejąc się złośliwie.)

W owej walce jeleni — a niechby, choć pozwolę sobie zaznaczyć, że przecież dwunogi od czworonogów różnić się muszą...

Łomżyński.

Nikczemnością!... W każdym razie świad-

kowie nasi jutro się nad tem zastanowią... (Chce wyjść.)

Stawicki (za odchodzącym.)

Ha, ha, więc pojedynek, rykowisko jeleni, lecz pozwól jeszcze chwilę, zanim zaczniemy porozumiewać się przez ambasadorów naszego honoru, czemuż jeszcze nie zajrzeć przedtem osobiście wytworzonej tak sytuacyi w oczy?

(Łomżyński zatrzymuje się słuchając.)

Stawicki.

Tak... zatem pojedynek, ale przecież strasznie stare i banalne rozwiązanie. I ta cała tragikomiczna dekoracya, jak świadkowie, lekarz, komenda. Przytem ten ponętny skandal, gdyż już jutro całe miasto używać będzie na aferze. Otóż proponuję, żeby zastąpić czemś rozsądniejszem ten odwieczny niemożliwy obrządek.

Łomżyński.

Cóż nam ostatecznie pozostało do wyboru.

Stawicki.

Stawicki (z beznadziejnym uśmiechem.)

Czemu znowu złego, lub strasznego?! Kto wie, gdybyś tylko zechciał jeszcze

chwilę być cierpliwym i posłuchać uważnie tego co powiem...

Łomżyński.

Czekam właśnie...

Stawicki.

I to jest więcej niż rozumne, bo wiesz co robią ci, którym się strasznie czyjejś śmierci zachciewa? Oto codziennie zamiast porannego pacierza, ćwiczą się 2 godziny w strzelaniu do celu, ja to czynię właśnie cały czas od chwili gdyś mi zabrał Colette, to też zapewniam cię, że doszedłem w tym kierunku już do wprawy cyrkowego zonglerstwa... Nie chcę w ten sposób ubliżać i celności twoich strzałów, w każdym razie jednak przyznaj, że okoliczność ta zmniejsza wyczekiwane przez cię szanse pojedynku (spoglądając na zegar). Dlatego... w twoim własnym interesie, jeśli tylko to zrozumieć zechcesz, chciałbym ci zaproponować coś, co byłoby dla nas obu bez porównania prostszem i skuteczniejszem rozwiązaniem fatalnego węzła.

Łomżyński.

Domyślam się... pojedynek amerykański, biała gałka, albo czarna...

Stawicki.

Do pewnego stopnia zgadujesz, tylko że w tem co ci naodwrót zaproponować zamierzam ślepy i nierozumny hazard będzie wykluczonym. Owszem do pewnego stopnia będzie to i pojedynek amerykański, tylko bardzo doraźny, bo może odbyć się zaraz, natychmiast, bezzwłocznie, co najważniejsza, że będzie on nadzwyczaj rozumnie zmodernizowany...

Łomżyński.

Dotąd się jeszcze niczego nie domyślam.

Stawicki.

Cierpliwości!... podkreślam tylko, że ślepy hazard będzie tu najzupełniej wykluczony.

Łomżyński.

Cóż go w takim razie zastąpi?

Stawicki (dobitnie po krótkim namyśle.)

Ona!...

Łomżyński.

Któż? jeszcze się nie domyślam...

Stawicki.

Twoja żona, Colletta...

Łomżyński.

Moja żona?! A to w jaki sposób?

Stawicki flegmatycznie porządkując listy na biórku.)

Ewangelicznie prosty... poddamy ją próbie miłości. Niech to będzie rodzaj sądu bożego. Dawniej w wiekach średnich robiono próby ognia i wody, my zdajmy to na próbę miłości.

Łomżyński (zdziwiony.)

Jakże ta próba ma wyglądać?

Stawicki.

Colletta tu wejdzie.

Łomżyński.

Gdzie?

Stawicki.

Tu do mnie.

Łomżyński.

Moja żona... tu do ciebie? Z moją o tem wiedzą?

Stawicki.

Tak.

Łomżyński.

Oszalałeś chyba...

Stawicki.

Nie, tylko gram w odkryte najszczerzej karty.

Łomżyński.

Skądże masz tę pewność, że przyjdzie, żeby wogóle przyszła?

Stawicki.

Mówię to i proponuję z całą pewnością, bo na podstawie listu, który tu przed chwilą byłem zmuszony czytać wobec ciebie...

Łomżyński.

Piekło! więc ona istotnie jest twoją kochanką?

Stawicki.

Uspokuj twe krwią nabiegłe serce "jak mówi Ohnet w którejś ze swych powieści" — jeszcze nią nie jest, ale... ale wyznaję ci otwarcie i najbardziej zdecydowanie, że ją kocham jak najdzikszy desperat, do szaleństwa. Ostatecznie nie ma rzeczy,przed którąbym się cofnął, byleby ci tylko ją wydrzeć z powrotem, jak ty mi ją zabrałeś przed trzema laty...

Łomżyński.

Do czego to wszystko ostatecznie zmierza?

Bo chcę, żebyś zrozumiał mój punkt wyjścia. Jest bardzo prosty. Otóż, jeżeli Colletta mnie jeszcze kocha, jak kochała, zanim została twoją żoną, a zrobię wszystko, żeby

zdobyć narazie tę pewność wymarzoną, wówczas co ci pozostanie, która całą swą istotą należy do innego.

Łomżyński.

A jeśli nie kocha?

Stawicki.

Wówczas odetchnij, już dla mnie wtedy życie nie przedstawia żadnej wartości i z całym spokojem palnę sobie w łeb!

Łomżyński.

O tę pewność tylko chodzi...

Stawicki.

Gra moja jest szalenie prosta. Oto Colletta tu wejdzie najdalej za minut 15 albo 20, a mówię to na podstawie dopiero otrzymanego listu.

Niech jej tu będzie wolno pozostać za twoją zgodą przez całe pół godziny. Nie mniej, ani więcej. W czasie tym wolno mi będzie przemawiać do niej wszystkimi głosami i argumentami, jakimi tylko może i umie przemawiać bezgraniczna miłość. Wzruszać ją będę głosem strąconego cheruba, błagać, łkać, porywać mirażemą szczęścia, wśród tęcz ją wieść.

Łomżyński (brutalnie.)

Dosyć tej liryki... cóż ja...

Stawicki.

Ty tego wszystkiego będziesz dobrowolnym i cierpliwym świadkiem.

Łomżyński.

Jakto? chyba mózg w tym czasie zagotuje mi się pod czaszką?

Stawicki.

Jeszczem nie skończył. W tem co powiem teraz rzecz jest cała. **(Podając rewolwer Łomżyńskiemu.)** Nabity, jak widzisz... weź go, gdy się zgodzisz i znajdziesz odwagę przyjąć moje warunki, wejdź z nim za kotarę. Tylko pół godziny masz tam pozostać.

Łomżyński.

Pół godziny... rewolwer... za kotarą ukryty? W jakim celu?

Stawicki.

Aby być świadkiem dantejskiego widowiska, jeśli się zgodzisz zainscenizować, zanim bohaterka dramatu tu nadejdzie. Przepyszne widowisko, na życie me i honor W twych oczach człowiek uwieszony nad przepaścią, będzie błagał kochaną aż do szaleństwa istotę o życie... ta zaś nieświadomie w swem ręku trzymać będzie gałązkę bluszczu, na której on zawieszony. **(śmieje się złowrogo.)**

Otóż w tem właśnie moje warunki polegają, równe najzupełniej dla obu stron, są nieodwołalnie przytem i nieubłagalnie śmiertelne, jak w pojedynku amerykańskim. Zatem gdy uwierzy mym zaklęciom, gdy mnie wysłuchać zechce, gdy wyzna, że była moją i pozostanie moją na wieki, gdy potem usta nasze połączą się w pierwszym pocałunku, wówczas, otóż wówczas ty przegrałeś i głuchy wystrzał za kotarą będzie odpowiedzią, że dotrzymałeś umowę.

Łomżyński.

Potworna w swem założeniu gra.

Stawicki.

Daje ci jednak możność pozbycia się w taki prosty sposób swego śmiertelnego wroga.

Łomżyński.

Nie... to pomysł potępieńczy, szalony, gdzież są równe szanse?

Stawicki.

Nie... to pomysł potępieńczy, szalony, większe, z chwilą bowiem, gdy po upływie pół godziny nie zdecyduje się być moją na zawsze te same warunki zobowiązują mnie, tem samem zaś w jednej chwili pozbywasz się najzacieklejszego wroga.

Łomżyński.

Jednak ta kobieta nie kochając cię, jak mi chcesz dać do zrozumienia, i umiejąc tak strzedz mego honoru nie mniej jednak ma przyjść do ciebie dobrowolnie. Nie, tak czyni tylko kochanka, lub ta, która chce nią pozostać.

Stawicki (podaje zamiast odpowiedzi Łomżyńskiemu list, który przed chwilą otrzymał.)

Łomżyński (otwiera skwapliwie list i czytal)

Człowieku bez serca! Wróciłeś po to, aby mi- od pół roku życie zatruć i jedną mi je męką uczynić. Raz ci jeszcze przysiegam na to, o czem cię tylekroć w listach zapewniałam, że mogę umrzeć z tęsknoty za tobą, jeśli taką wzbudzić we mnie kiedykolwiek zdołałeś, ale nie splamię honoru męża, gdym mu raz kiedyś zdecydowała się oddać moją rękę. Dziś już chodzi mi o te listy nieszczęsne tylko, choć ci je litość tylko kazała pisać moją ręką. Nie mniej muszę je mnieć za wszelką cenę z powrotem. Człowieku okrutny, żądasz, abym je odebrała osobicie u ciebie, tylko u ciebie. I przed tem się nie cofnę. Twoje poczucie honoru, a krew matek, która płynie w moich żyłach będzie tam dla mnie, gdzie mnie zmuszasz brutalnie bym przyszła, dostateczną tarczą dla mnie.

W chwili, gdy będziesz czytał te słowa powóz mój będzie mnie wiózł po raz pierwszy a przysięgam, że i ostatni do ciebie mnie znękaną i biedną Collettę.

Stawicki.

Czy jeszcze się wahać możesz na chwilę? Jakżebym pragnął w tej chwili być w twojem położeniu. Być mężem kobiety tak niezachwianej, tak niezłomnej... Oto przewiduję i przeczuwam wynik tego zagadkowego pojedynku. Ukazujesz się z za kotary jak widmo nieubłaganej zemsty, niemym ruchem podajesz mi rewolwer zabierasz swoją już niezaprzeczenie Collettę i wychodzicie, a za wami biegnie echo wystrzału, którym sobie roztrzaskam skroń. I nie żal mi siebie ani trochę. To chyba lepsze od męczarni, które przechodzę od chwili, gdy ją straciłem. I cóż ty na to? Taka perspektywa, chyba warta piekielnego ryzyka. **(Słychać odgłos dzwonka.)**

Łomżyński (wyniośle.)

Przyjmuję!

Colletta (wbiega do gabinetu zdyszana.)

I cóż?... To czekanie tam u drzwi trwało tak niemożliwie długo... Gdybym była przypuściła...

Stawicki (tonem płaczącym.)

Daruj pani mnie nędznemu, nad którym już sam los tak się okrutnie znęca.

Colletta.

Ach... cóż to za ton płaczący, przecież to była tylko wina służącego. Czy zawsze i wszystkim tak powoli i ze strachem koniecznym otwiera? **(Energicznie). Moje listy?**

Stawicki (wskazuje na biórko.)

Oto są! czekają przygotowane jak przykazano.

Colletta.

Czemu mnie pan zmuszał, żebym aż tu po nie przyszła?

Stawicki.

Ja zmuszałem? błagałem tylko o to jak o łaskę największą, tak, jak błaga konający, o uchylenie zasłony u okna, by mógł poraz ostatni w twarz popatrzeć w cudne, wspaniałe słońce. On je tak szalenie kochał za życia.

Colletta (kapryśnie.)

Jest w liście pańskim obietnica, że nie będzie mowy o miłości, gdy tu przyjdę.

Stawicki (poważniejąc.)

Com przyrzekł — dotrzymam, jak wszędzie, zawsze, wszystkim i wszystkiego... **(z wzruszeniem)**. Cóż, kiedy między ustami,

a pucharem, zaszły rzeczy, które zmieniły ogromnie bieg rozgrywających się wypadków.

Colletta.

Jakto? Czyżby pan zaniechał myśl wyjazdu. W liście pan wspomina, że postanowił pan wzupełności kraj opuścić... Więc to był podstęp?

Stawicki.

Bynajmniej! Wyjeżdżam naprawdę daleko, bardzo daleko, nawet dalej niż myślałem temu pół godziny.

Colletta.

Zagadka! Gdzież więc?

Stawicki.

Do czwartego wymiaru, skąd się nigdy nie powraca.

Colletta.

Znów ten ponury smutek, który mnie dławić zaczyna? Czemu to u pana tak przeraźliwie smutno? przecież w tak przytłaczającej atmosferze żyć poprostu nie można.

Stawicki.

Bo też nie dla mnie już życie!

Colletta (porywa się z siedzenia.)

Panie Witoldzie! pan sobie chce naprawdę cóś złego zrobić...

Właśnie coś, w czem dla mnie wybawienie i ulga niczem nie przerwana...

Colletta.

Pan pewno myśli o samobójstwie z powodu mnie czy tak? Powiedzieć tak... żądam natychmiast całej prawdy!

Stawicki.

Nie mówmy o tem zupełnie! Po cóż trzymać wyrok wciąż utkwiony w ranie wiecznie krwawiącej, strasznej, nie do uleczenia już. Przegrałem pokochawszy cię, wielką stawkę życia i znajdę tyle odwagi, by ją zapłacić.

Colletta.

Nie, nie niech pan tak nie mówi! Życie samo w sobie jest pięknym celem — nie, pan spróbuje wyjechać hen daleko za morze,a tam znajdzie pan coś mocnego, silnego, nie dającego się nikomu, niczemu...

Stawicki.

Po co? byłby to tylko daremny trud i męka. Ja już nie mógłbym wyżyć zdala od ciebie od pani, a że znów żyć w takich warunkach niepodobne, więc dla mnie już nie ma ratunku.

Colletta.

Panie Witoldzie! nie trzeba się znowu tak okropnie nademną znęcać.

Stawicki.

Nie, moja przepiękna, ja w ten sposób tylko własne rozdrapuję rany.

Colletta (z lękiem.)

Czemu tu nagle zrobiło się tak dziwnie i strasznie jakoś, to tykanie miarowe ma w sobie coś przerażającego.

Stawicki (podniecа rozmyślnie jej lęk.)

Tak tłuką się w grobowcach nawpół otwartych nietoperze... Łomotem swych skrzydeł zdają się odmierzać chwile ulatujące bezlitośnie, nim ciemność zapadnie zupełna. **(Zbliżają się bezwiednie do siebie.)**

Colletta. ....

Czemuż ta kotara przed nami jest tak ohydnie poszarpana, tyle krwi z niej zdaje się przeglądać! **(fałdy zasłony poruszają się tajemnie.)** Ja nie chcę, żeby ta zasłona tak wisiała. Tyle krwi z niej przegląda! Pocom ja tu przyszła? Zaraz rozsunąć... chcę.

Stawicki.

Nie można złota moja, tam jest wróg nasz.

Colletta.

Jaki wróg?

Stawicki.

No, okno, a przecież nie trzeba, żeby cię tu widziano! Nie słuchaj ptaszyno moja, stra-

sznego zegara, nie patrz na widmo — zasłonę, posłuchaj lepiej, jak tam za oknem drzewa zawodzą smutnie.

Colletta.

Tak szumią!

Stawicki.

Zupełnie jak wtedy, pamiętasz? Siedzieliśmy oboje przy otwartem oknie, późno już nad wieczorem, ja ci opowiadam o moim wspaniałym projekcie mostu w Kanadzie, za który wezmę olbrzymio wielką nagrodę i o willi, którą miałem wybudować nad zatoką Kalifornijską, czy pamiętasz moja droga?

Colletta (cicho.)

Tak.

Stawicki (z żalem.)

Wyjechałem, a ty nie miałaś cierpliwości czekać na mnie jak przyrzekłaś?

Colletta.

Znów te wyrzuty! Biedna, sama jedna, straciwszy ciotkę... Ty wtenczas właśnie nawet pisać przestałeś.

Stawicki.

Leżałem wtedy śmiertelnie chory, przysięgam ci raz jeszcze.

Colletta.

A ja tego wtedy wiedzieć nie mogłam a ów z tym swoim majątkiem, stosunkami taki

był natrętny, tak mnie oplątał, ach nie wracajmy nigdy do tego samego tematu.

Stawicki (zsuwając się do jej kolan.)

Odpowiedz mi jeszcze raz na moje pytanie! Czy w twoim sercu już wszystko dla mnie stracone? Błagam cię, powiedz.

Colletta.

Dlaczego dręczysz? Czy nie wystarczy ci za odpowiedź, żem przyszła?

Stawicki (z goryczą.)

Po listy...

Colletta.

Także i... po listy.

Stawicki.

Mam wrażenie, jakby mi żywcem zamurowanemu promień słońca wystrzelił nagle ze strzeliny, przed zrozpatrzonemi oczyma (**Całuje ją namietnie, ona broni się słabo i tem właśnie przyciąga go bezwiednie bliżej.)**

Colletta.

Nie całuj! nie trzeba tak! on jest strasznie mściwy. — Ty go nie znasz! Patrz tam z nad zegara coś się nam tak krwawo przygląda.

Stawicki.

Cudu mój boski! On już dla nas nie straszny. Miłość nasza, która tyle przetrwała, silna dziś, jak burza. Cóż znaczą śmieszne płoty. Zmiecie je wraz z sobą.

Colletta (szeptem, patrząc na zegar.)

Cicho! te krwawe fale zdają się jakby poruszać... idą ku nam, zatopić nas chcą żywcem... Serce mi bić przestaje z przerażenia... Jakam ja biedna.

Stawicki.

Utul się ptaszyno, raju mój wymodlony, tyś już mój. Jam jest zuchwały, zaborczy wiking. Zechciej, pozwól, a porwę cię jako swoją zdobycz do owej tamże willi. Tam... Daj się zabrać mój ptaszku rajski... już jutro... dziś jeszcze na życie, na kwiatach, pełne szałów upojeń... nie kończących się... słodkich.

Colletta (obezwładniona powtarza.)

Upójcie... szałów... słodkich...

Stawicki.

Bo przecie ty moja tylko jesteś, tylko moja, byłaś nią zawsze i będziesz moją tak?

Colletta (szeptem.)

Tylko twoją. (**Całują się namiętnie.**)

(W tej chwili zegar wydzwania oznaczoną pół godzinę. Zasłona na chwilę się rozchyla, ale jeszcze szybciej zapada.)

W tej chwili głuchy trzask daje się słyszeć za kotarą, a między parę kochanków pada trup Łomżyńskiego, który ich ma rozdzielić na wieki.

Kominiarz i młynarz, Komedya w 1 akcie....	50
Kościuszko pod Racławicami w 5 aktach	50
Koszyk kwiatów. Obrazek dram. w 5 aktach	50
Kopciuszek (Cinderella) w 4 aktach	50
Kozioł Ofiarny. Komedya w 1 akcie	50
Królowa Przedmieścia, ...	50
Łobzowianie. Obrazek dram. w 1 akcie	50
Major Psianoga, fraszka sceniczna	50
Majster i Czeladnik. Komedya w 2 aktach	50
Mały nauczyciel. Komedya w 2 aktach	50
MysiaWieża w Kruświcy, dram. w 3 aktach....	50
Na bezrybiu i rak ryba, komed. w 1 akcie......	50
Nad Bugiem. Obrazek ludowy w 3 aktach......	50
Nad Wisłą, krotochwila w 1 akcie	50
Niemiec i Polka czyli syn burmistrza w 3 akt...	50
Niemiec Kosynierem w 2 aktach....	50
Nowożeńcy. Komedya w 2 aktach......	50
O chlebie i wodzie, krotochwila	50
Okrężne. Komedya w 2 aktach	50
Oryl. Komedya w 1 akcie	50
Pan Twardowski czarnoksiężnik, melodram.	50
Pan Damazy Kociubiński, komedya	50
Panie Kochanku, anegdota dram. w 3 aktach ..	50
Pan Redaktor czeka, krotochwila w 1 akcie.....	50
Panicz w Ameryce, komedya w 4 odsł.	50
Papugi naszej Babuni, operetka w 1 akcie	50
Peruka Profesora, humor. sceniczna..........	50
Pierwszy Mąż, komedya w 1 akcie	50
Pod Stefanowem, epizod z powstania..........	50
Piosnka Wujaszka, komedya w 1 akcie	50
Podejrzana osoba, komedya w 1 akcie........	50
Po kweście, fraszka w 1 akcie	50
Polska kobieta, obrazek z powstania 1863	50
Polowanie na męża. komedya w 2 aktach	50
Pomorzanie w Gąsawie, dramat w 4 aktach....	50
Prima Aprilis, komedya w 1 akcie............	50
Przed śniadaniem, obrazek dram. w 1 akcie....	50

...i obrazek dram. w 1 akcie 25
..., dramat w 3 aktach 50
Prześladowana, krotochwila w 1 akcie 50
Przygody i kłopoty Fotografa, komed. w 1 akcie 50
Racławice, obrazek dram. w 1 akcie 25
Renegat, dramat w 5 aktach........ 50
Rzeź w Krożach,.... 50
Skalmierzanki, krotochwila w 3 aktach........ 50
Słowiczek, komedya w 1 akcie................ 50
Sobieski pod Wiedniem, tragedya w 5 aktach.. 50
Smakosz jaj, komedya w 2 odsłonach 25
Spotkanie, krotochwila w 1 akcie 50
Spóźnione zaloty, fraszka w 1 akcie. 50
Surdut i siermięga, obraz ludowy w 3 aktach.. 50
Św. Eustachiusz, dramat w 3 aktach.......... 50
Syn Wolności, Obrazek Dram. w 3 aktach 50
Szewc arystokrata, krotochwila w 1 akcie 50
Tajemnica chaty wiejskiej, sielanka w 3 aktach 50
Tyrolskie Pieśni, czyli Skarb za kominem...... 50
Trzeci Maja, obraz histor. w 5 aktach.......... 50
U przekupki, krotochwila w 1 akcie. 50
Ufność bez granic, przysłowie dram. w 1 akcie.. 50
Ulica nad Wisłą, krotochwila w 2 aktach...... 50
Ulicznik Chicagoski i szewc atleta, w 2 akt..... 50
Ulicznik Paryski, komedya w 4 aktach........ 50
Werbel domowy, obrazek wiejski w 1 akcie.. 50
Wesele na Prądniku, obrazek ludowy w 2 akt. 50
Wesele Podlaskie obraz. ludowy w 5 aktach.... 50
W obozie, W jednym akcie.................. 50
Wiesław, obraz ludowy w 4 aktach 50
Wolność i niewola, obraz dram. w 3 aktach.... 50

Posiadamy na składzie nuty do wszystkich tych sztuk teatralnych.

W. H. SAJEWSKI,
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.